

Przekwitają kasztanowce

1.

Pamiętam, jak babcia i dziadek pracowali przy wirującej betoniarce, tata i wujkowie murowali fundament, mama zajmowała się niemowlętami – Achtemem i Rustemem, a my, starsze dzieciaki, biegaliśmy po podwórku i co chwila usiłowaliśmy wspiąć się na skałę, u stóp której stał nasz dom. Na szczycie tu i ówdzie migały jaszczurki. Rzecz jasna, korciło nas, aby je schwytać, dlatego wdrapywaliśmy się po szarej, gładkiej ścianie, spadaliśmy, rozbijaliśmy kolana, płakaliśmy, ale wżaliśmy znowu, bo wydawało się, że zwierzątko jest tuż-tuż!, niemal trzymam je w dłoniach! – ale zwinne gady umykały spomiędzy palców, błyskając żółto-zieloną łuską, i znikwały między skalnymi szczelinami.

– Bita¹, dzieciarnia tak się rozbrykała, że ledwo można ją ścierpieć. Niech bita ich czymś zajmie! – mama prosiła swoją babkę, która jako jedyna, oprócz niej samej, nie brała udziału w budowie, lecz przyglądała się wszystkiemu ze stołeczka pod leciwą jabłonią, z rękoma opartymi na kolanach, stateczna, niemal odświętna. Ani jeden włos nie wystawał spod starannie zawiązanej chustki. Jej twarz przywodziła na myśl pomarszczone jabłko.

Mama, aby bita ją usłyszała, musiała podejść do niej, nachylić się i mówić głośno prosto do ucha. Bita upewniała się, czy dobrze rozumie, mama, krzycząc, powtarzała, babka kiwała głową, powoli podnosiła się ze stołeczka, stała chwilę albo dwie, następnie przykładła dłoń do ust, aby brzmieć głośniejsze, i wołała:

– Dzieci! Chodźcie tutaj!

Mama, która trzymała na rękach bliźniaków, krzyczała razem z nią:

– Dzieci! Chodźcie! Bita opowie wam bajkę!

Jakieś niezadowolone dziecko mamrotało pod nosem, inne radośnie wrzasnęło „hura!”, jeszcze inne, z takim samym zawzięciem, z jakim wcześniej usiłowało wdrapać się na skałę, biegło teraz do mamy i prababki. Niby mrówki ściągaliśmy ze wszystkich zakątków podwórka, ale, mijając chatę, nabieraliśmy powagi, prostowaliśmy plecy i jedno za drugim wchodziliśmy do środka, aby zająć miejsca w izbie – na krzesła, wersalce albo dywanie. Mama z małutkimi Achtemem-Rustemem sadowiła się na wersalce. Drobne i wyschnięte ciało bity zapadało się w ogromnym fotelu. Przesuwała po policzkach pościemniałymi od pracy i starości rękami, jakby próbowała wygładzić zmarszczki, i podczas gdy my jeszcze przez chwilę chichotaliśmy i szeptaliśmy między sobą, babka przymykała oczy, wprawiając swoje ciało w lekki, wahadłowy ruch: lewo–prawo. Zapadało milczenie.

¹ Bita – tak zwracają się do babci Tatarzy krymscy, których rodziny przed deportacją mieszkaly na Krymie na obszarze pogórza (szczególnie w rejonie baczysarajskim).

O czym były bajki? Zdaje się, że za każdym razem o czymś innym: o chanach i sultanach, o dzielnym Alimie, o syrenie i młodym czabanie, który walczył z aźderem – smokiem. Pamiętam, że czaban pokonał aźderę, a później następowało wyliczenie miasteczek i wsi, z których ludzie ściągali na ucztę.

Niechaj dziś zgromadzi się tu cały lud. Niech przybędą mieszkańcy Küçük Lambatu, niech przybędą mieszkańcy Partenitu, niech przybędą mieszkańcy Kürkületu. Niechaj przybędzie tu lud Qızıltaşu, niech przybędą mieszkańcy Gurzufu, niech przybędą mieszkańcy Aluşty i Nikity...

Każde z nas, słysząc te nazwy, wyobrażało sobie, że to MY mamy przyjść na ucztę, bo to NASZA rodzina – bliższa i dalsza, krewni naszych krewnych i sąsiedzi z Küçük Lambatu, Partenitu i Kürkületu, Aluşty, Gurzufu i Nikity – my, bo przecież nie raz słyszeliśmy te nazwy w rozmowach.

Opowiadanie nie kończyło się wraz z bajkami. Prababka rozpoczynała swoją pieśń, a my podzaliśmy już nie za fabułą czy znajomymi nazwami, lecz za głosem i melodią. Bitą śpiewała tak pięknie, że oczarowani wstrzymywaliśmy oddech:

W ogrodach kasztany,

W ogrodach kasztany

Przekwitają jeden za drugim.

Hej, dziewczyno, zakochałem się w tobie

I rozum mi odebrało.

Zdawało się: taka optymistyczna piosenka, że tylko się cieszyć, ale bita milkła. Nagle po jej starych, pomarszczonych policzkach zaczynały płynąć łzy, które wycierała rękawem chusty, i mama też płakała, a my po prostu patrzyliśmy już przyzwyczajeni, że jeżeli ktoś ze starszyny śpiewa, to później niechybnie zapłacze. Bitą płakała i przestrzegała: „To nasza ziemia i macie tu zostać. Pamiętajcie dzieci, aby nigdy jej nie opuszczać”.

Dlaczego po skończonej pieśni mówiła: „Macie tu zostać, dzieci”? Czyżby dlatego, że zmuszona była spędzić połowę swojego życia z dala od tych kasztanów? Czy może dlatego, że krymskie kasztanowce przekwitają w połowie maja, a wspomnienie o nich niechybnie przywołuje tamtą straszną noc²?

Jakkolwiek by było, słowa te, mimo że wtedy tajemnicze, wnikały w nasze umysły, pod skórę, do krwi.

Lubimy razem z Diliaverem wędrować po mieście gąszczem krętych uliczek, między pagórkami i skałami przypominającymi ściany. Mijamy podwórka, pośród których wznoszą się djurbe, muzułmańskie grobowce – teraz rosną na nich pomidory. Wyobrażam sobie, jak niegdyś przy głównej ulicy, przemianowanej później na ulicę Lenina, ciągnęły się zakłady rzemieślnicze, gdzie wyrabiano futrzane czapki, buty z baraniej skóry, miedziane dzęzwy i wyplatano ogromne kosze. Budynek, w którym obecnie mieści się opuszczone

² Mowa o nocy z 17 na 18 maja 1944 roku, gdy rozpoczęła się deportacja Tatarów krymskich z Półwyspu Krymskiego – przyp. tłum.

kino Start, pierwotnie był meczetem, bo inaczej po co ktoś projektowałby tak eleganckie okna? Dawniej odchodziły od niego alejki, w których handlowano wyrobami spożywczymi: mięsem, jajkami, warzywami oraz chlebem. W kawę, ryż i turecki jedwab można było zaopatrzyć się nieopodal w karawanseraju. Na drodze prowadzącej do pałacu handlowano bronią i uprzężami. Po tym wszystkim pozostały wspomnienia i to nawet nie moje, ale babć i dziadków, którzy lubią przywoływać je w opowieściach.

Pałac przetrwał. Kunsztowna, choć minimalistyczna architektura, rdzawoczerwona dachówka, koronka malowideł i ornamentów – tak to wyglądało dawniej, tak jest i teraz. Meczety chanów, budynki, pokoje, cmentarz i łaźnie, fontanny, harem, Baszta Sokoła i wiele innych, i dziedzińce, i ogrody, ogrody... – choć wszystko się zmieniało, to kompleks pałacowy stał tu przez pół tysiąca lat i stoi tak do dzisiaj.

Gdzieś tutaj, w tym mieście, nieopodal pałacu mieszkała nasza baba i jej syn – mój dziadek – z siostrami. Gdy wrócili na Krym, nie udało im się osiedlić w Balcysaraju – we wszystkich domach wznoszonych przez dziadów i ojców wysiedleńców mieszkali teraz obcy. Dlatego też nasi osiedlali się tam, gdzie mogli, gdzie znaleźli miejsce bodaj na ziemiankę, aby później, gdy już zbiorą rubel do rubla, potem hrywnę do hrywny, mogli zbudować dom – deska za deską, cegła za cegłą, stopień za stopniem.

Ja dorastałam na wsi, a mój mąż, Diliaver, w Balcysaraju, choć jego rodzina pochodziła z wiosek na południowym i wschodnim wybrzeżu Krymu. Gdy wychodziłam za mąż, baba nie było już pośród nas, ale dziadek, jej syn, jeszcze żył. Na naszym weselu opowiadał, że w dzieciństwie zakopał na podwórku skarb – błyszczący papierek po cukierku – nie wiadomo skąd zdobył go dla niego starszy brat, który później zginął. Przez cały czas spędzony na zesłaniu dziadek pamiętał o skarbie, marząc, że kiedyś, gdy powróci, pójdzie popatrzeć na swój dawny dom, poprosi o pozwolenie na przekopanie terenu wokół starej gruszy i sprawdzi, czy sreberko wciąż tam jest. Gdy wrócił na Krym, poszedł razem z rodziną popatrzeć na miejsce, z którego ich wysiedlono. Dom i podwórko pozostały niezmienione, jedynie drzewa się rozrosły i postarzały, choć nowych z jakiegoś powodu nie było widać, a farba na płocie wyblakła aż do brudnej bieli. W domu mieszkali obcy, którzy dawnych właścicieli nie wpuścili na podwórze – zatrzasnęli przed nimi drzwi.

– Nas też w Ay Serezie nie wpuścili, nawet popatrzeć nie dali – odezwała się mama Diliavera. – Widzę, nasz dom stoi, ten sam, który budował pół wieku temu mój dziadek. Byłam wtedy malutka. Gdy przeszkadzałam wszystkim, kręcąc się pod nogami, tapta³ sadzała mnie obok siebie i opowiadała mi bajkę... Więc widzę, że dom stoi, tylko dach się zapadł – nie ma komu naprawić... Stoimy, rozglądamy się, wyszedł gospodarz i pyta: „Czego chcecie?”, „A czego byśmy mogli chcieć? Przyszliśmy popatrzeć na dom. Mieszkali tu moi dziadkowie i mój tato, wysiedlili ich stąd”. Mężczyzna pobałdł, zadrżał i mówi: „Wynocha, zdrajcy, to nie miejsce dla was”. To mu odpowiedziałam: „Zdrajcy? Wiesz, ile nazistowskich samolotów zestrzelił mój dziadek? A ilu partyzantów wyleczyła

³ Tapta – tak nazywają babcię Tatarzy krymscy ze wschodniego Krymu, zwłaszcza z okolic miasta Sudak.

moja babcia?”. Gospodarz splunął, odwrócił się na pięcie i nie tylko zatrzęsął drzwiami, lecz także zaciągnął zastony w oknach.

– Nas też nie wpuścili – powiedziała moja nana⁴ pochodząca z Toqulçaqu, gdzie step ciągnie się aż po horyzont. – Ale stary sąsiad, dziadek Wasyl, podszedł na skraj ogrodu, do płotu, obok którego staliśmy, i udając, że wyrwa cebulę, wyszeptał: „Przyjdźcie po zmroku”. Przez kilka godzin krążyliśmy wokół wsi, a gdy zaszło słońce, wpuścił nas do domu – rozmawialiśmy do rana.

– A nasza ślepa qartana⁵ przyjechała do Bağayı i gdy dotknęła starej brzoskwini, którą zasadziła w dzieciństwie, odzyskała wzrok – powiedziała ciotka Diliavera. Słyszałam już tę historię, stała się legendą.

Ay Serez nazywa się teraz Miżricczia, Toqulçaq – Hryszyne, Bağay – Suworowskie. Nazwy naszych miast i wsi zostały wymazane jeszcze w latach czterdziestych, toponimia stała się nielogiczna i bezosobowa – taka jak wszędzie, jak na jednej szóstej planety. Pojawiła się wieś Frunzewka i dwie Frunze, a miasto Partenit stało się Frunzenskim na cześć radzieckiego rewolucjonisty; mamy cztery Suworowe – od nazwiska rosyjskiego pułkownika; miasto Krasnohwardijsk zostało tak nazwane dla uczczenia bolszewickiej armii, jedna z rzek została Partyzantką, góra – Partyzancką, parów – Partyzanckim, uroczysko – Partyzanckim, polana – Partyzancką, źródło – Partyzanckim, jaskinia – Partyzancką, grotta – Partyzancką.

Nie domagaliśmy się przywrócenia nazw. Sami po powrocie nazywaliśmy wsie i miasta tak, jak czynili to nasi przodkowie: Biłohirsk – Qarasuvbazar (bazar nad rzeką Qarasu), Symferopol – Aqmescit (biały meczet), Krasnokamjanka – Qızıltaşu (czerwony kamień)...

Bakczysaraj oznacza „pałac w ogrodzie” i planowano zmienić jego nazwę na Puszkino. W tym czasie na Krymie były już trzy wsie o nazwie Puszkino. Ktoś mądry powiedział jednak: „Gdybyśmy chcieli nazwać miasto «Puszkino», musielibyśmy zmienić też tytuł utworu Puszkina z *Fontanna Bakczysaraju* na *Fontanna Puszkina*”. Dzięki temu miasto zachowało swoją pierwotną nazwę.

Stoję na wzgórzu, ponieważ osiedle, na którym dorastał mój mąż, znajduje się na wzniesieniu i wydaje mi się, jakby w dole położono szkatułę pełną drogocennych kamieni – migoczą i pobłyskują tak samo, jak mieniła się skóra jaszczurki z mojego dzieciństwa. Różnica polega na tym, że zwierzęciu udało się uciec, nie pozwoliło się schwytać, a skrzynię z kosztownościami mam na wyciągnięcie ręki, mogę dotknąć kamieni i chciałabym, aby tak już zostało.

...Na weselu życzone nam dużego i pięknego domu, liczego potomstwa i „obyśmy zostali na Krymie”. „To nasza ziemia i macie tu zostać. Pamiętajcie dzieci, aby nigdy jej nie opuszczać” – mówiła bukana⁶ Diliavera, wycierając oczy rąbkami chusty.

⁴ Nana, nene – tak nazywają babcię Tatarzy krymscy ze stepowych regionów Krymu.

⁵ Qartana – tak nazywają babcię w rejonach południowego wybrzeża Krymu. Słowo to weszło do języka litewskiego.

⁶ Bukana – tak nazywają babcię Tatarzy krymscy w rejonach południowego wybrzeża Krymu.

2.

Oni zawsze przychodzą o piątej rano. Często w nocy ze środy na czwartek. Jeśli przeanalizujemy daty, okaże się, że najczęściej zabierali naszych w czwartek. Zastanowiło nas to. Jasne, dlaczego o piątej: człowiek jest wtedy słaby i najmniej skłonny do oporu. Ale skąd ten czwartek?

Obudziłam się chwilę przed. Usłyszałam głosy pod domem, donośne walenie w drzwi, później znowu, jeszcze głośniejsze, coraz bardziej natarczywe.

Mężczyźni byli rośli i krępi, ubrani na czarno, w czarnych maskach i czarnych kamizelkach z żółtym napisem „FSB” na plecach. Teść otworzył im drzwi – odepchnęli go. Przeszli korytarzem do naszej sypialni. Już czekaliśmy, nie oglądali nas w piżamach.

Szok? Nie, raczej westchnienie i myśl, że „przyszła kolej na nas”. Przecież Diliaver otrzymywał już wezwania od oficera FSB Iwana na „nieformalne rozmowy”, przecież grozili mu, że jeśli nadal będzie filmował przeszukiwania i procesy, później wrzucił materiały do sieci, a także trąbił na cały świat o „renowacji” Chan-saraju, podczas której niszczyony jest jego zabytkowy charakter, to następną rewizję przeprowadzą u niego w domu, a w kolejnym procesie to on będzie oskarżony.

Diliavera zakuli w kajdanki, mnie kazali wyjść. Razem z teściami, bratem męża, jego żonę i dwójkę dzieci słuchaliśmy, jak w sąsiednim pokoju rozpoczęło się przeczesywanie każdego kąta – wyrzucali ubrania z szaf, na podłogę ładowali książki, przetrząsali dokumenty, kazali podać hasło do komputera.

– Bismillāh ir-Rahman ir-Rahīm⁷ – teściowa szeptała modlitwę. Bukana leżała w pokoiku obok. Rzadko już bywała przytomna i nie wiedzieliśmy, czy rozumie, co się dzieje.

Zaczęli przeszukiwać salon, a później pozostałe pokoje. Na podłogę, niby śmieci, walały się nasze książki – napisane w naszym języku ojczystym. Pytali po rosyjsku, o czym jest każda z nich: „Nie mogliście kupować książek w jakimś normalnym języku?”; zbiór czasopism „Yıldız” kolekcjonowanych jeszcze na zesłaniu, a później tutaj, na Krymie; nasze ubrania, mój pas weselny – spadek po bicie, wyrobiony przez mistrza przed niemal stuleciem specjalną techniką filigranu (oficer FSB obmacał go, zapytał, co to, chwilę pomyślał i, patrząc na mnie uważnie, wykonał ruch, jakby chciał włożyć go do kieszeni, ostatecznie rzucił pas na stół).

To ONI podłożyli do naszych książek dzieła Saida Nursiego⁸ – literaturę ekstremistyczną, art. 20.29 kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej. To ONI położyli pod materacem naboje – nielegalne posiadanie broni i amunicji, art. 222.1 kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej. I to ONI opisali to jako dowód rzeczowy – podstawę do oskarżenia.

Przeszukanie było typową pokazówką. Doskonale wiedzieli, czego szukać.

– Patrzcie, czym zajmuje się wasz syn – powiedział Iwan, oficer FSB, pokazując rodzincom Diliavera książki i naboje.

⁷ W imię Boga Miłosiernego, Litościwego – basmala rozpoczynająca sury Koranu. Przyp. tłum.

⁸ Said Nursi (1878–1960) – turecki teolog islamski (Kurd z pochodzenia), filozof, działacz religijny. W rosyjskim systemie prawnym niektóre jego dzieła traktowane są jak literatura ekstremistyczna.

– Nie dotykajcie tego! – krzyknął Diliaver, który wiedział, że na tych przedmiotach próżno szukać naszych odcisków palców, a jeżeli się pojawią, nie będzie już żadnej nadziei na sprawiedliwość.

Wyprowadzili męża z domu. Na podwórku stał zaparkowany biały dostawczak. Zanim wsadzili go do auta, zawiązali mu oczy.

Teściowa i ja uczepiliśmy się Diliavera. Ręce miał skute kajdankami. Jeden z osizków odepchnął nas tak mocno, że jego mama omal upadła. W porę złapał ją młodszy syn, Nariman.

Patrzyliśmy za odjeżdżającym samochodem, dopóki nie opadł pył na drodze.

Odwróciliśmy się w stronę domu. Bukana stała oparta o framugę. „Deportacja też była w czwartek” – powiedziała.

Przez dziewięć miesięcy, które Diliaver spędził w areszcie śledczym, nasz język wzbogacił się o nowe słowa. „Szkłanka” – budka bez okien w więźniarce o powierzchni pół metra kwadratowego; „kiszka” – ciemne i bardzo wilgotne pomieszczenie, samo przebywanie w „szklance” albo „kiszce” to tortury; „akwarium” – szklana klatka, gdzie umieszcza się oskarżonego na czas rozprawy sądowej; „zguba” – człowiek uprowadzony przez rosyjskie służby, który później zniknął bez śladu.

Uzupełniona została nasza wiedza o świecie. Teraz rozumiemy, czym jest przyjmowanie „gości” o piątej nad ranem. Ci „goście” głośno i natarczywie łomczą w drzwi, czasem je wyważają. Bywa, że w biały dzień wchodzą na przykład do restauracji – cali na czarno, w czarnych maskach, z żółtym napisem „FSB” na plecach, tarasują przejście, żądają okazania dokumentów, po czym kiwają głowami do siebie: „To ci, zabieramy”.

Wiemy, do czego są zdolni ludzie w czerni: do rzucania na asfalt twarzą w dół, kopania ciężkimi buciorami, zakładania worka na głowę i dalszego kopania, wkładania do uszu przewodów, torturowania elektrowstrząsami i tak dalej, i tak dalej...

Rostów nad Donem, obce miasto w Rosji, ciągle przewija się w rozmowach. Mieści się tam jeden z aresztów śledczych, w którym bezprawnie więzieni są nasi.

Tamci nie tylko aresztują i tyranizują ludzi, lecz także niszczą miasto i cały Półwysep Krymski. W Chan-saraju podczas „renowacji” przepiłowali krokwie liczące sobie trzy lata, a dawną, rdzawoczerwoną dachówkę zastąpili nową, hiszpańską. Pod dachem meczetu leżą pokruszone fragmenty ściany z XVI wieku. Starodawne kamienie rozrzučili po dziedzińcu tak, jakby tutaj też dokonano rewizji.

Na całym półwyspie pojawiły się bramki do wykrywania metalu, wszędzie każą otwierać torebki i sprawdzają, czy przypadkiem nie nosimy w nich materiałów wybuchowych. „Wie pan, musimy pokazać, że na Krymie nie będzie terroryzmu” – powiedział do Diliavera oficer FSB Iwan. Był maj, pierwszy rok okupacji, uwięzili wtedy Ołeha Sencowa, Henadija Afanasjewą i Ołeksandra Kolczenkę. „I dlatego musicie terrorystów wymyślać?” – zapytał ironicznie Diliaver. „Właśnie tak” – odpowiedział Iwan.

Nauczyliśmy się na pamięć całych artykułów z konstytucji i kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej, choć przydały się tylko po to, aby zabłysnąć przed sługusami systemu, ponieważ w tym imperium albo ustanawia się prawo tak, by działało niezgodnie z własną literą, albo się je wypacza.

Zaczęliśmy organizować flash moby – na przykład tysiące rubli na opłacenie mandatów przynosił w kopiejkach. Pieniądze podzwaniały w workach i ogromnych stojakach. Tak zwracaliśmy uwagę na niesprawiedliwe i bezprawne działanie sędziów. Zbieraliśmy się licznie pod drzwiami sądu albo organizowaliśmy przejazdy samochodowe z naszymi flagami. Po takich wydarzeniach postawni mężczyźni w czerni częściej pojawiali się w domach aktywistów.

Wzbogaciły się nasz język i wiedza o świecie, ale zmianie nie uległy przekonania na temat państwa, które od trzech stuleci ciężkim buciołem depta naszą ojczyznę.

Rozprawę Diliavera przekładano trzykrotnie, co trzy miesiące. Przez cały ten czas przebywał w areszcie śledczym. Znęcano się nad nim psychicznie i fizycznie, rażono go prądem, ale nie przyznał się do winy – rozpowszechniania literatury ekstremistycznej, nielegalnego posiadania broni, podżegania do nienawiści na tle narodowościowym.

W końcu go wypuścili – dwa dni przed terminem kolejnej rozprawy. Bał się, że robią to celowo, aby go uprowadzić i zatrzeć ślady, ponieważ nikt nie wiedział, że tego dnia miał opuścić areszt.

Poszczęściło mu się. Wyszedł na zewnątrz, a tam jacyś mężczyźni stali wokół samochodu, który nie chciał odpalić. Pożyczył od nich telefon i zadzwonił do ojca. Czekając na niego, miał czas, aby rozejrzeć się dookoła. W stolicy Krymu wiosna rozkwitała pełnią życia. Z trawy wyglądały słońca mleczny, figi i platany kołysały rozłożystymi liśćmi, kasztanowce miały zaraz rozwinąć wiechy swoich kwiatostanów.

Po czterdziestu minutach przyjechali ojciec i Nariman.

Kilka dni później oficer FSB Iwan zaprosił Diliavera na „nieformalną rozmowę”, która miała się odbyć na ławce pod siedzibą jego jednostki, niemal naprzeciwko Chan-saraju zdewastowanego przez „renowację”. Powiedział po rosyjsku:

– Z takimi poglądami nie ma pan czego szukać na Krymie. Jeśli zamierza pan ich bronić, to nie tutaj.

– A gdzie? – zapytał Diliaver. Iwan wzruszył ramionami.

– Na Ukrainie.

– Przemysłą pańską propozycję.

– To nie była propozycja – odpowiedział Iwan.

W dzień słysząc, jak chrapią słonki, stukają w drzewa dziecięty pstrokaty, a wieczorami cykają świerszcze. Czy gdzieś jeszcze to usłyszę?

Biała akacja rozwinęła swoje pachnące kwiaty, niedługo dołączą do niej lawenda i macierzanka. Czy gdzieś jeszcze poczuje ten zapach? Czy zobaczą te skały i sosny, te uliczki i smukłe minarety? Tę szkatułę pełną kosztowności, które mienią się i lśnią?

Jak mogę STAĆ WYJECHAĆ, skoro w mózgu, pod skórą, we krwi od maleńkości tkwią słowa mojej prababki i wszystkich starszych krewnych – „To nasza ziemia i macie tu zostać. Pamiętajcie dzieci”?

Jak mogę STAĆ NIE WYJECHAĆ, gdy mojego męża mogą znów zamknąć w więzieniu, torturować, wywieźć do Rostowa nad Donem? Lub, co gorsza, porwać i zatrzeć po nim wszelki ślad?

Co jest ważniejsze: przeżyć czy pozostać na ziemi, na którą nasi przodkowie wracali przez pół stulecia?

– Ile lat miała twoja prababcia, gdy powróciła z rodziną na Krym? – pyta mnie Diliaver?

– Była po siedemdziesiątce.

– A dziadkowie?

– Po pięćdziesiątce.

– Moi tak samo. Domy ich rodziców zostały zajęte, a cmentarze zrujnowane.

– W Chan-saraju na honorowym miejscu stały łóżko z baldachimem i nocnik Katarzyny II – dodaję.

O Chan-saraju lepiej nie wspominać. W ścianie budynku, który stał od prawie pięćset lat i przetrwał trzęsienie ziemi, po „renowacji” pojawiło się pęknięcie.

Wychodzę z dziedzińca na ulicę i zbliżam się do krawędzi wzgórza. Patrzę na miasto rozciągające się w dole.

„Tak bym chciała, aby Bakczysaraj przetrwał” myślę. Te wzniesienia i skały, które przypominają mury. Te wijące się, kręte uliczki. Starodawne djurbe. Ostrołukowe okna starych meczetów. Pałac ozdobiony koronką malowideł. Te drogocenne kamienie w szkatule.

Wiedząc, co dzieje się teraz z Chan-sarajem, jak mogę myśleć, że coś pozostanie, ocaleje?

Diliaver przez kilka dni rozmyśla i wzdycha, wzdycha i rozmyśla. Wreszcie optymizm bierze górę.

– Nie strach wracać do domu, do przodków – ogłasza werdykt. – Nawet jeśli zostanie się ruiny. Nie strach zaczynać od zera, gdy minie niebezpieczeństwo – przekonuje mnie i siebie.

– A jeśli nie minie?

– Kiedyś minie.

Na podwórku u brata Diliavera, Narimana, kręci się betoniarka. Dorośli murują ściany, a dzieci, nasi mali krewni, biegają dookoła. Teściowa woła na bajkę.

– Wyjeżdżamy z córeczką do naszej wielkiej ojczyzny – przekonuje mnie Diliaver – aby móc kiedyś powrócić. Tam też będziemy organizować flash moby i przypominać światu o Krymie. Zapiшем dzieci do krymskotatarskiej klasy...

– Myślisz, że jest tam taka?

– Będzie. To w Rosji wszystko zmienia się na gorsze, a w Ukrainie – na lepsze.

Ja wiem: w naszej wsi pozostali moi bracia i siostry – na podwórkach dzieci, z którymi kiedyś łapałam jaszczurki, teraz kręcą się betoniarki. Budują domy dla swoich rodzin, ich dzieci biegają po podwórkach. Moje rodzeństwo też czasem odwiedzają mężczyźni w czerni. Być może wszyscy oni stawiają swoje domy dla obcych, na zatracenie.

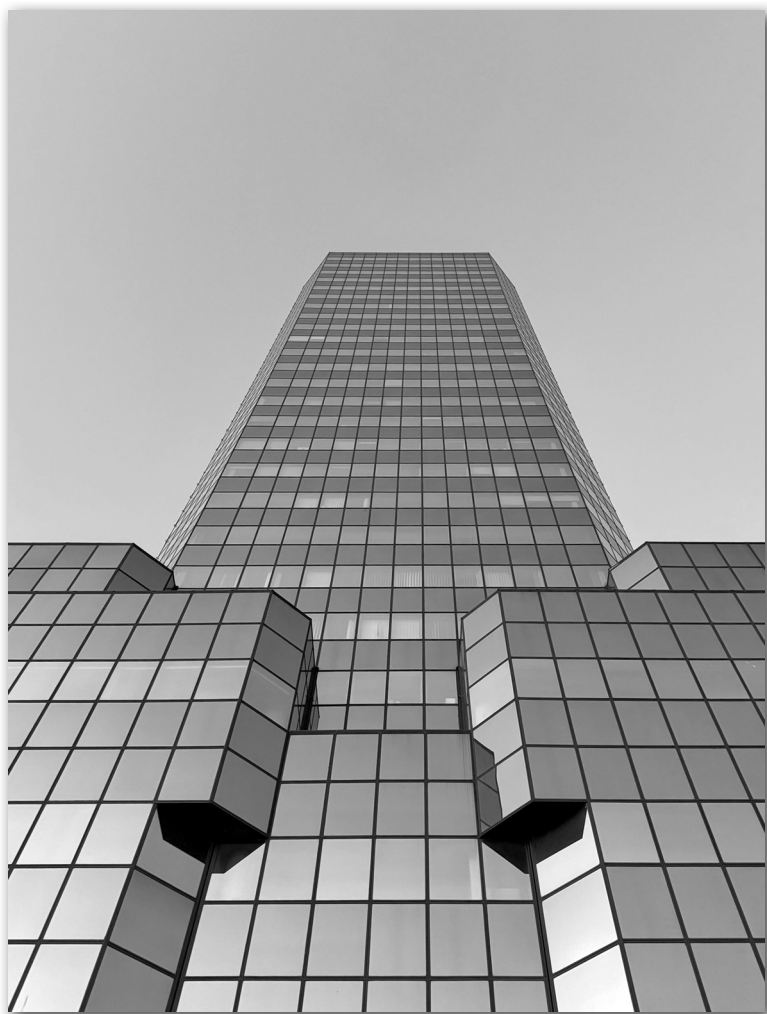
Gdy wracam na podwórkę, teściowa właśnie kończy bajkę – czaban pokonał ażdę.

Niechaj dziś zgromadzi się tu cały lud – teściowa mówi kwestię czabana i stara się naśladować młody, męski głos. – Niech przybędą tu mieszkańcy Kūçük Lambatu, niech przybędą mieszkańcy Partenitu, niech przybędą mieszkańcy Kūrkūletu. Niechaj przybędzie lud Qızılaşu, niech przybędą mieszkańcy Gurzufu, niech przybędą mieszkańcy Aluşty i Nikity...

Wyjeżdżamy pod koniec maja. Za chwilę zaczną przekwitać kasztanowce.



Fotografia – Danuta Deckert



Fotografia – Danuta Deckert